

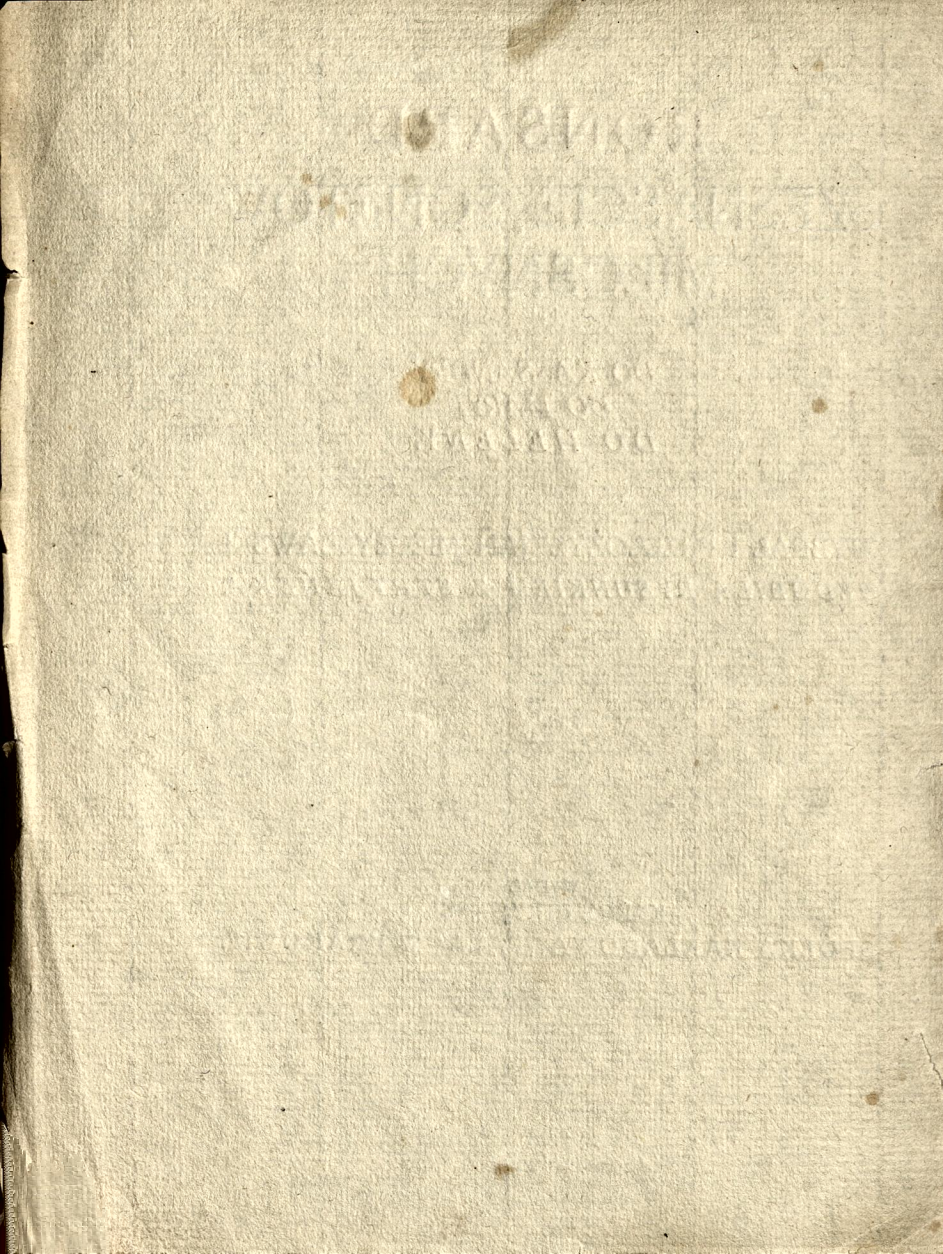
RONSARD
SZESNAŚCIE SONETÓW
MIŁOSNYCH

*DO KASSANDRY
DO MARYI
DO HELENY.*

WYBRAŁ I PRZEŁOŻYŁ JAN MIECZYŚLĄWSKI
OZDOBIŁA RYSUNKIEM Z. STRYJEŃSKA.



WYDAŁ
KAROL STRYJEŃSKI.
SPÓŁKA NAKŁADOWA „FALA“ W KRAKOWIE.



*SZESNAŚCIE
SONETÓW MIŁOSNYCH.*

SONETÓW TYCH ODBITO
TYSIĄC EGZEMPLARZY
NUMEROWANYCH.

NR. 385





563996

RONSARD
SZESNAŚCIE SONETÓW
MIŁOSNYCH

*DO KASSANDRY
DO MARYI
DO HELENY.*

WYBRAŁ I PRZEŁOŻYŁ JAN MIECZYŚLAWSKI
OZDOBIŁA RYSUNKIEM Z. STRYJEŃSKA.



WYDAŁ
KAROL STRYJEŃSKI.
SPÓŁKA NAKŁADOWA „FAŁA“ W KRAKOWIE.

RONZARD
ZWEITSTE SONNETOW
MILIOSYCH

DO KASSINGEN
DO MANN
DO GERNY

WYDZIAŁ FENOMENYJAN MATEMATYKI
KATEDRA ALGEBRY I GEOMETRII

BIBLIOTEKA
UNIWERSYTECKA
w Toruniu

5151511

D 66/13

I.

Zjawileś mi, Amorze, cudo niespodziane,
Trzy siostry szukające nad wodą wytchnienia,
Które rosły mi w zmierzchu letniego promienia
Jak rosną na jabłoni trzy jabłuszka rane.

Wszystkie trzy w swej urodzie były niezrównane,
Ale najmłodsza była najgładsza z wejrzenia
I zdawała się kwiatem na brzegu strumienia,
Który w toni przegląda swe kraszy rumiane.

To w mym duchu najstarszą podobałem sobie,
To wybierałem średnią, to zaś razem obie;
A zawsze przy najmłodszej myśli moje były.

I jąłem prosić słońca, by się zatrzymało,
Bo jeszczeby mym oczom trzech lat było mało
Widoku tych trzech słońc, co mą miłość nieciły.

II.

Smutny ciałem — i duchem bardziej niżli ciałem,
Wlokłem dotąd dni moje niby martwa bryła,
A nie wiedząc, by Muza tyle przynosiła
Zaszczytu wiernym swoim, w pogardzie ją miałem.

Odkąd przecież miłosnym zapłonąłem szałem,
Odtąd źrenica twoja nie tylko mi była
Strażą przyboczną cnoty, ale zaś sprawiła,
Że z nieumiejętnego uczony się stałem.

Tedy więc, moje wszystko! jeśli tu co tworzę,
Jeśli godnie o twoich oczach wiersze mnożę,
W tobie to samej widzę sztuki tej sprawczynię.

Od ciebie wdzięki moje conajtrwalsze wzięłem,
Ty mi natchnieniem jesteś, i twojem jest dziełem,
Jeśli co dobre, wszystko dobre, które czynię.

III.

Piesek ten, który za mą panią chodzi
I co przystępu do niej, łajac, wzbrania,
Ptaszek ten, który w kwietniu, do zarania,
Tęskne swe pienia z moją skargą godzi;

I kamień ów, gdzie, kiedy słońce schodzi,
Samotna, w zmierzchu, siada dla dumania,
I ogród ten, gdzie dłoń jej dla przybrania
Zrywa kwiateczki, które Zefir rodzi;

I taniec owy, w którym grot Amora
Nawskroś mię przeszył, i wiosenna pora,
Która co roku ranę mą rumieni;

I jej spojrzenie, i jej święta mowa,
I wdzięk, którego obraz serce chowa —
Kąpią me łono dwojgiem łez strumieni.

IV.

Spalić chcę, żeby w Niebios wzlecieć progi,
Ten mój człowieczy kształt niedoskonały,
Syna Alkmeny dostępując chwały,
Co cały w ogniu siadł pomiędzy Bogi.

Już duch mój, ponad miarę wybujały,
W opornem ciele przechadza się srogi,
Już drwa ofiarne znosi w stos złowrogi,
Zanim je oczu twych dosięgną strzały.

O święty żarze! tchu czystej piękności!
Ogniem tak czystym, ach! pal moje kości,
Żebym, zrzuciwszy wszystkie więzy ciała,

Nagi i wolny, w dymu prędkiej chmurze
Do Nieba wzleciał, i wielbił tam w górze
Tę piękność, z której twoja tu powstała!

V.

Kiedy samotną zejde cię tajemnie,
Całą w dumaniu cichem pogrążoną,
Z głową ku ziemi nieznacznie skłonioną,
Zdala od ludzi i zdala odemnie,

Pragnąc odwrócić twoją myśl strapioną,
Nieraz pozdrowić cię chcę — lecz daremnie:
Onieśmielony głos zamiera we mnie,
Usta mam pełne słów — i milczę ono.

Zdzierzyć nie mogę oczu twych promienia;
Strwożona dusza ma drży ze wzruszenia;
Język i mowa kłamią swej czynności;

Jeno wzdychanie, jeno twarz ma smutna
Mówią ci za mnie, a zaś tak okrutna
Męka dość świadczy o mojej miłości.

VI.

Mój Tyardzie, mówiono mi w pierwszej mej dobie,
 Że nazbyt ciemny jestem dla tłumu prostego,
Teraz zarzut mi czynią z grzechu przeciwnego,
 Że prostym będąc nazbyt, kłam zadaję sobie.

Powiedz mi ty, co pisząc w uczonym sposobie
 Nieśmiertelne swe księgi, świadomyś wszystkiego,
Jak ja tego potwora, w sądach tak zmiennego,
 Lepszą chęcią dla pióra mego usposobię?

Kiedy przemawiam górną, nie czyta mię zgoła,
 Kiedy mówię zwyczajnie, ganić nie przestaje;
Jaki rząd gwoździ, jaki sznur przytrzymać zdoła

Tego Proteja, zanim nowy kształt przywdzieje?
 Rozumiem cię, Tyardzie: niech on sobie łaje,
A my śmiejmy się z niego, jak on z nas się śmieje.

VII.

Maryo, lica masz takie piękne i rumiane
 Jakby róża majowa; bujne twoje sploty
Są ciemnokasztanowe, w tysiączne nawroty
 Wite, w drobne przy uszach loczki poskręcane.

Kiedys maleńka była, pszczołki rozigrane
 Na kraśnych wargach twoich miód składały złoty,
W surowych oczach Amor ukrył swoje groty,
 Python dał ci to głosu brzmienie niezrównane.

Piersi twoje są niby dwa pagórki mleczne,
 Pęczniące jak wiosną, w pierwsze dni słoneczne,
Pęcznią młode pączki od zbytku żywicy;

Ramiona masz Junony, Gracye chowasz w łonie,
 Różanej są Jutrzenki twe palce i skronie,
Ale, Maryo, ty serce masz okrutnej lwicy.

VIII.

Wstań, pieszczotko, wstań z łoża! bardzo mi leniwa:
Wesoła pieśń skowronka już w niebo się wzbiła
I z krzaka cierniowego słodko przedzwoiła
Stęsknionego słowika skarga pieszczotliwa.

Wstań! zobaczysz jak w perłach błyszczą trawka tkliwa,
Jak się róża twoja pączki nowymi spłoniła,
I śliczne twe goździki, które napoiła
Wodą, wczoraj o zmierzchu, dłoń twoja tak troskliwa.

Wczoraj, spać idąc, kleś się swojemi oczyma,
Że cię pierwszą dziś rano ujrzą dzieńne sprawy;
A oto sen poranny, dziewczętom łaskawy,

Jeszcze ci słodkim śnieniem rzesy zwarte tłoczy.
Tu! tu! niech je całuję — i tę pierś rumianą
Sto razy, byś wiedziała, że masz wstawać rano.

IX.

Kiedy trwam pochylony nad czarem twojej twarzy,
Widzę coś w oczach twoich, co błyska i znika,
To jasne to zaś ciemne, co mię wskroś przenika
I z żyły w żyłę całą krew mi w sercu warzy.

Amora tam, niestety! widzę wojownika,
Co, raz niżej, raz wyżej, a zawsze na straży,
Raz po raz z napiętego łuku do mnie praży.
Rozumie! powiedz, jak się takich strzał unika?

Duch mój wtedy nademną tak swą władzę traci,
Że zaparłbym się króla mego i ojczyzny
I sprzedałbym mą matkę, ojca, siostrę, braci,

Tak odchodzę od zmysłów, kiedy skosztowałem
W długim hauście miłosnym palącej trucizny
Tych dwojga pięknych oczu, w których się zbłąkałem.

X.

Schowaj na tę noc róg swój, o Luno pocziwa:
Niech już cię nie opuszcza Endymion twój drogi,
Niech go długo na łonie twem sen pieści błogi,
Niech cię żaden czarownik natrętnie nie wzywa!

Jasność dnia mi nieznośna, noc mi sprzyjaźliwa,
Za dnia w szachu mię trzyma czujny sąsiad wrogi,
Po nocy i wśród szpiegów raźniej kroczą nogi,
Kiedy mię mrok swym cieniem jak płaszczem okrywa.

Ty wiesz, Luno, co mogą miłosne napoje:
Potrafił bóg Pan ongi wzruszyć serce twoje
Białem runem baranka. Wy zaś, gwiazd orszaki,

Sprzyjajcie płomieniowi, jakim płonę cały,
Bo jeśli pamiętacie, większość z was, o Znaki,
Przez miłość jeno niebios dostąpiła chwały.

XI.

Na co mi wiersze moje, na co dźwięczne lutnie,
Skoro noc i dzień zmieniam obyczaj i mowę,
By durnie kochać jedną piękną białogłową?
O jakże miłość cierpieć każe nam okrutnie!

W sercu mem żal, płacz, boleść zwodzą z sobą kłótnie,
Nad tysiącem sonetów łamię sobie głowę —
I nie jestem kochany: gachy coraz nowe
Zajmują miejsce moje, a ja milczę smutnie.

Pełna sideł jest pani mej miłosna sztuka:
Mnie zaledwie podbiła, innego już szuka.
Gdym ku niej płonął, żar jej zdawał się ustawać,

Aż kiedym sam się wydał mniej rozmiłowanym,
Płonie znów ku mnie. Trzeba, żeby być kochanym,
Kochać mało, przyrzekać wiele — i udawać.

XII.

Z oczu mi weź urodę swą, weź czar młodości,
Weź te dary najrzadsze, jakieć nieba dały,
Weź ten światły swój dowcip, oczu blask wspaniały,
Ten chód, tę mowę — godne znamiona boskości;

Nie będę więcej nużył twojej cierpliwości,
Natrętny, jako czynię: krasy twe zdziałały,
Że gdy je widzę, tracę zmysły, oszalały,
A rozpacz duszy mojej przydaje śmiałości.

Przeto, jeśli niekiedy dotknę twojej dłoni,
Proszę, niech ogień gniewu twarzy twej nie płoni:
Nie swój jestem, mój rozum hamulca nie słucha,

Tak szaleństwo mną władnie całym w onej dobie;
Ale też nie bądź dla mnie wzgardliwego ducha,
I dobra, błędy moje przebacz sama sobie.

XIII.

Amorze, który dzierzysz świat pod swym rozkazem,
Spójrz na twoją i moją chlubę w tym ogrodzie;
Patrz jak oko jej, gwieździe podobne na wschodzie,
Świeci się niby lampa przed świętym obrazem.

Patrz jak ciało jej, kras wszech zbiór i przykład razem,
Mierzy się z ranną zorzą w blasku i pogodzie;
Patrz jak duch jej, pan losu, w zwycięskim pochodzie
Podbija wszechświat, który jest Boga wyrazem.

Patrz jak mimo nas idąc, cała zadumana,
Przywiązuje cię kwieciem do swego rydwana;
Patrz jak z pod stóp jej wschodzi trawa szczęsnorosa;

Patrz jak rodzi się wiosna z oczu jej promieni
I jak coraz pod tchem jej miłosnych płomieni
Krasa spływa na ziemię i dzień na niebiosa.



XIV.

Nie będę porównywał kras twych do miesiąca,
Bo niestały jest miesiąc, a twój czar niezmienny;
I mniej jeszcze do słońca: słońce — gość codzienny,
Codzienne światło jego, tyś pierwsza z tysiąca.

Przed cnotą twą się korzy złość i zawiść drżąca;
Ja, sławiąc cię, nie jestem chwalcą niesumienny;
Niemasz tu wizerunku, własnyś wzór bezcenny,
Samaś bóstwo swe, gwiazda, fortuna żyjąca.

Ci, którzy swoje damy do ciebie równają,
Albo chępią się, albo rozumu nie mają:
Dowcipem, uczonością, nad wszystkiemiś górą.

Albo jakowyś demon wziął kształt twego ciała,
Albobyś cnoty samej obrazem być miała,
Albo Palladą jesteś, albo z Gracyj którą...



XV.

Kiedy już będziesz stara, wieczór u łuczywa
Siedząc koło komina, przędąc i motając,
Powiesz, nucąc me wiersze, w głos się zadziwiając:
Ronsard mię sławił, kiedy byłam urodziwa!

A nie znajdzie się wtedy dziewczka tak leniwa,
Coby, po dziennych trudach nawpół usypiając,
Na dźwięk mego imienia nie drgnęła powstając,
Darząc wciąż nieśmiertelną tę, co mię nazywa.

Ja będę w głębi ziemi upiorem bez kości,
Pod mirty cienistymi śniącym sen wieczności;
Ty u ognia staruszką o zmarszczonej skórze,

Żalującą miłości mej i swego chłodu.
Nie czekaj, chceszli wierzyć, do jutra, żyj z młodu,
I dzisiaj jeszcze zacznij zrywać życia różę.

XVI.

Miłości, czas mi rozstać się z twą szkołą płoną,
W której dowcip, i rozum, i sąd postradałem,
W której zwiodłem sam siebie, lata zepsowałem,
I tak źle przepędziłem młodość mą szaloną.

Nieszczęsny, kto z dzieciną sprzyjaźni się ona,
Niespokojnego ducha, o sercu niestałem,
Co radość naszą zrywa w kwieciu niedojrzałem,
Co nas pasie snem pustym, nadzieją chybioną.

Młodość była jej mamką, wrząca krew karmiła,
Pycha ją opętała, beczynność strawiła,
Wydętą zamiarami, dymem, próżnym szalem.

Więziła mię Cassandra, Marya miała w lennie,
Już siwizną okryty innąm czcił solennie —
A jeśli mię kochały, i ja je kochałem!

SPIS SONETÓW.

SPR. SONETOW.

Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page.

I.
ZJAWIŁŚ MI AMORZE.

II.—V.
DO KASSANDRY.

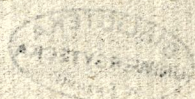
VI.
MÓJ TYARDZIE MÓWIONO MI.

VII.—X.
DO MARYI.

XI.
NA CO MI WIERSZE MOJE.

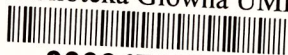
XII. - XV.
DO HELENY.

XVI.
MIŁOŚCI CZAS MI ROZSTAĆ SIĘ.



10, -

Biblioteka Główna UMK



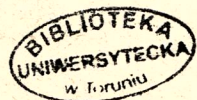
300047488270

WYDAWCA
L. V.
DO KASZUB
IV
M. TYRABE
DO
M. CO
XIII
DO
XVI
MEO



1922.

CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ W KRAKOWIE
POD ZARZĄDEM J. DZIUBANOWSKIEGO.



11 180/42

10000 ✓

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

1151515

Biblioteka Główna UMK



300047488270